

* * * * * CZASOPISMO ILLUSTROWANE

MAŁY ŚWIĄTEK

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY. * * * * *

WILHELMINA KASPROWICZÓWNA

(ZDARZENIE PRAWDZIWE Z LISTOPADOWEGO POWSTANIA).

*„O, nie zginęła jeszcze Ojczyzna,
Póki niewiasty tam czują;
Bo z ich to serca płynie trucizna,
Którą wrogowie się trują”.*

W. Pol.

Siedm mil od Wilna leży miasteczko Oszmiana. Miasto to niewielkie, ale pamiętne w dziejach poróżbionych rzezią z roku 1831.

Dnia jednego rozeszła się w Oszmianie straszna wieść, że Moskale wpadli do miasta i rabują i mordują mieszkańców.

W pamięci ludu żyła jeszcze straszna rzeź Pragi, wiedzieli jakich strasznych zbrodni umieją się dopuszczać rozbestwieni moskale, więc bojaźń, strach, groza opanowała wszystkich.

W małym domku na końcu miasta mieszkała wdowa z kilkorgiem dzieci, z których najstarsza Wilhelmina miała lat 16.

Dzieci płakały po kątach. Wilhelmina stała w oknie, wypatrując rychłoli żołdactwo i do ich wpadnie domu. Matka siedziała nieruchomo, ale ściągnięte surowo brwi, zaciśnięte usta i wzrok, świadczyły, że w głowie snuje plan jakiś.

Mały chłopak szeptał do młodszej od siebie siostrzyczki:

— Gdy wejdą moskale, ja porwę nóż i rznąć ich będę.

— A ja się schowam w najciemniejszy kąt domu.

— Wszędzie cię znajdą moskale.

— Wleżę do piwnicy.

— Oni tam pójda szukać wina.

— To na strych się schowam.

— I tam się wydostanę po drabinie.

Rozmowę dzieci przerwał głośny, straszny krzyk.

To mieszkańcy sąsiedniej ulicy uciekali przed napaścią.

A za krzykiem trwogi, doleciał uszu biednej wdowy krzyk drugi, wściekły krzyk mordujących i pastwiących się nad ofiarami morderców.

Zerwała się matka i postąpiła szybko do okna, gdzie stała Wilhelmina.

— Już idą — szepnęło dziewczę drżące od przerażenia.

Matka porwała ją za ramię i rzekła:

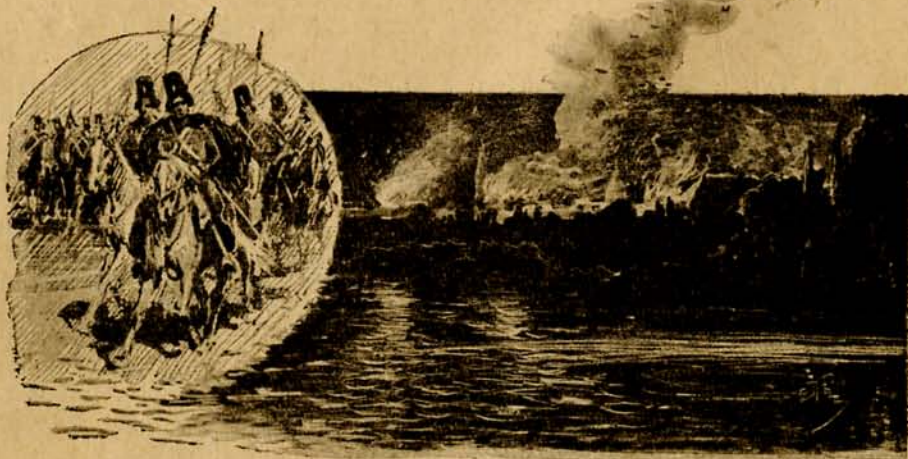
— Prędko wsuń się w komin i tam usiądź na żerdziach, na których wieszają się półgąski. Ale prędko, bo już idą.

Wilhelmina pod wpływem rozkazującego głosu matki postąpiła ku kominowi, ale wnet się wstrzymała i zapytała:

— A ty matko? a dzieci?

— I siebie i dzieci ukryję w bezpiecznym miejscu, ale ani mi się waż ruszyć, choćbyś nie wiem jakie słyszała jęki i krzyki. Pod błogosławieństwem zakazuję ci zejść, bo moskale pastwią się najbardziej nad młodem dziewczętami.

A gdy dziewczyna stała bez ruchu, matka dodała:



— Spieszże się, bo muszę i inne dzieci ukryć; chceszże, aby je zastali tu w izbie?

Dziewczyna skoczyła na piec i znikła w kominie, a sadowiąc się na żerdzi, słyszała jeszcze słowa matki: „Pamiętaj! pod błogosławieństwem zakazuję ci schodzić, dokąd wszystko nie ucichnie“.

I odtąd już nie wiedziała, co się działo w domu.

Drżąc cała, przytuliła się do ściany komina. Chwile oczekiwania zdawały się jej wiekami.

W kominie było cicho.

Naraz jakiś wrzask straszny wstrząsnął powietrzem. Dziewczyna wciśnięta w komin, nie mogła rozróżnić głosów, ani słów, słyszała tylko jakiś przerażający huk, który ją wprost ogłuszał i pozbawiał zmysłów.

Huk ten trwał długo, ogłuszone dziewczę siedziało, jak nieprzytomne w kominie.

Sama nie wiedziała, jak długo trwało to wszystko. Jak we śnie tylko słyszała, że krzyki cichły, że huk słabnął, a w końcu zapanowała zupełna cisza.

Wilhelmina pamiętając zakłęcie matki, nie schodziła jeszcze, ale gdy ciszy nie przerywało, gdy nie maćił jej żaden szmer, ani szept najcichszy, postanowiła zejść nareszcie.

Zeskoczyła.

I straszny obraz przeraził jej oczy.

Na środku izby leżały pomordowane ciała braciszka i siostrzyczki, a wśród nich trup matki, z poobcinanymi palcami, które moskale zabrali razem z pierścionkami.

Dziewczyna stała długo przybita straszną boleścią i szeroko rozwartymi oczyma patrzyła w twarz matki, aż runęła na ziemię i omdlała z bólu.

— — — — —
Tak znalazł ją organista miejscowy, który

po odejściu moskali, chodził od domu do domu i zbierał ciała pomordowanych, aby je pogrzebać.

Gdy ją ocucono, siedziała długo, nie mówiąc ani słowa, bez łzy w oku.

Nareszcie wstała i rzekła do organisty:

— Powiedzcie mi, czy jest tu w pobliżu jakiś oddział powstańców?

— Jest panienko oddział Łabanowskiego — odparł stary.

— A wiecie, w której stronie?

— Wiem.

— To mnie tam zaprowadźcie.

— Dobrze panienko.

I poszli.

Gdy weszli do obozu, dziewczyna rzuciła się do nóg wodza i rzekła:

— Moskale wymordowali mi całą rodzinę, jestem sama, przyjmij mnie panie do oddziału, bo inaczej oszaleję z cierpienia. Żyć cicho w domu już nie mogę. Może Bóg litościwy pozwoli mi pomścić śmierci mojej matki, albo na mnie zesłać śmierć.

Wódz przyjął ją do oddziału i odtąd panna Wilhelmina Kasprowiczówna, ubrana w kubrak powstański, walczyła u jego boku, a zawsze szła tam, gdzie najgęściej padały kule.

Po rozbiciu oddziału Łabanowskiego, walczyła pod wodzą Radziszewskiego, a potem Dembińskiego.

W bitwie stoczzonej pod Wilnem, raniona dwiema kulami, omdlała.

A gdy wróciła do przytomności, zapytała:

— Kto zwyciężył?

— Nasi — skłamali towarzysze, widząc, że to już ostatnie jej chwile i że prawdy się nie dowie.

— Boże, dzięki ci! — szepnęła Wilhelmina z uśmiechem szczęścia zakończyła męczeński żywot.



* GWIAZDY AKADEMII. *

(Ciąg dalszy)

Jak Pijarzy walczyć musieli z głupotą i złością starej szkoły, która w naszej nauce i mądrości widziała wroga swego, tak cierpiał przywódca tych reformatorów i odnowicieli oświaty, Stanisław Konarski, zanim przekonał Polaków, że właśnie trzymanie się starych przesądów i zacofanie stało się powodem późniejszego upadku Polski, co wśród największej chwały swojej w przepaść niewoli się stoczyła.

Podczas panowania Sasów, kiedy był pokój w kraju, mogła podnieść się właśnie w Polsce oświata, która w czasie wojen rozwijać się nie może; tymczasem przeciwnie się stało: Polska zgłupiała i zepsuła się całkiem właśnie wtedy, gdy stanęła u szczytu potęgi swojej ziemskiej, gdy

już nie napadali na nią ani Turcy, ni Tatarzy, ni Szwedzi, gdy bali się jej z Krzyżaków powstałi Niemcy pruscy, co dobrze Grunwald pamiętali i hołdowanie swoje królom polskim, gdy szanowali ją Niemcy austriacy, przez nią pod Wiedniem ocaleni, gdy Moskale nie zwyciężywszy dotąd Polaków w żadnej wojnie, ani przypuszczać mogli, że tak łatwo staną się jej panami.

A więc sprawdziło się, że naród, który nie przyswaja sobie obcego rozumu na to, by potem własnym duchem go poprowadzić, upaść musi, choćby był u szczytu ziemskiej potęgi swojej.

Na szczęście znaleźli się ludzie tacy, jak Konarski, którzy widząc lepiej, niż naród cały, co się święci, nie dali złudzić się pozorami potęgi

polskiej, lecz zaczęli dość wczesnie ratować jej ducha, ażeby on później, gdy ciało już osłabnie, stał się ostatnią twierdzą Polski.

A ducha tego zaczął ratować Konarski, ta nowa gwiazda narodowa, przez młodzież i szkoły, zamienione wiekiem zaniedbanie i spuszczeniem się na cudzą pracę, na leniwe korzystanie z łacińskiego rozumu tylko. On wiedział, że Polsce trzeba innych Polaków, ażeby z tych wyżyn panowania swego nie poszła w służbę do innych narodów, lecz wiedział, że starych Polaków już uczyć i przerabiać nie można, więc wziął się do młodzieży przez szkoły, w których ona się uczyła.

Wszak zawsze przez młodzież, na której polega przyszłość Ojczyzny, można tę przyszłość uratować.

Konarski tem większym był i mądrzejszym jako reformator, że sam wychowywał się pod wpływem dawnego systemu, który wytwarzał wszystkie wady w charakterze Polaków: pychę wobec stanów niższych, samowolę wobec rządu swego, a wymaganie od stanu miejskiego i wiejskiego posłuszeństwa bezwzględne dla siebie, samolubstwo nie pozwalające tym niższym stanom, żeby się wykształcały na obywateli miłujących swą Ojczyznę, wreszcie wstręt do oświaty i prawdy, zamiłowanie w zbytkach i marnotrawstwie, zamiłowanie obczyzny i lekceważenie własnej narodowości.

Język Polaków ówczesnych w potocznym życiu i piśmiennictwie był tak zwany makaroniczny; była to mieszanina z łaciny i polszczyzny złożona. Jak Kochanowski zaczął od tworzenia pieśni w języku ojczystym, tak Konarski doszedł był znów do tego, że przedewszystkiem zapragnął oczyścić język nasz z tego makaronizmu i dlatego napisał był ważną książkę p. t. »O poprawie wad wymowy«.

Lecz zanim to napisał i doszedł do poznania na czem polega dobra wymowa, sam pisał językiem makaraniczno-panegirycznym, tak jak wszyscy Polacy ówczesni. Panegiryzm oznacza przesadne wychwalanie osoby czy rzeczy, instytucji jakiejś lub narodu całego. Każda przemowa Polaka ówczesnego była naszpikowana łaciną i pochwałami przesadnymi, przyczem porównywano zawsze osoby chwalone z bóstwami greckimi, mieszka-

jącami na Olimpie. Im mniej rozumiała była taka mowa, tem piękniejszą i mądrzejszą zdawała się niby.

Mieli np. Polacy swoich rycerzy, bohaterów sławnych, jak żaden może naród na świecie, ale kiedy chciano pochwalić jakiego rycerza, to go zaraz porównywano nie z Chodkiewiczem, ani Czarneckim, ale z bogiem wojny Marsem, z Beloną itp.

Konarski wyjechał był jako ksiądz dla kształcenia się do Rzymu, ale i tu nie pozbył się był jeszcze dawnych wad swoich. Dopiero pobyt we Francji, która stała się już była teraz przodowniczką narodów w oświacie i cywilizacji, rozbudził w Konarskim tak, jak niegdyś w Kochanowskim, wrodzone zdolności umysłowe i wyrobił w nim głębszy rozum i pogląd na wszystko. Do rozbudzenia tego ducha w nim, przyczynił się największy Stanisław Leszczyński, który we Francji mieszkał. Mąż ten, który sam karciał wady Polaków i wiedział czego Polsce trzeba było, wpłynął na Konarskiego. Poznał był on zresztą pisma autorów francuskich, poezję ich i prozę, francuskie szkoły, wychowanie młodzieży i przekonał się, że Polacy powinni tak swoim rozumem pracować, ażeby pozbyć się wad zakorzenionych w narodzie. Francuzi ówczesni doszli byli już do przekonania ważności nauk przyrodniczych, Konarski rad był wprowadzić znajomość tych nauk w Polskę.

Lecz kiedy wrócił do Polski i napisawszy swe dzieło »O poprawie wad wymowy«, zaczął zalecać prostotę stylu, polecać język francuski i niemiecki, obok łacińskiego, żądać wprowadzenia do szkół nauki fizyki, gdy założył wreszcie szkołę tak zwaną »Collegium nobilium«, powstał straszny wrzask w Polsce, że Konarski chce poniżyć »krasomowstwo« polskie, tak potrzebne dla sejmujących ciągle Polaków; naukę fizyki uważano za bezbożność, twierdząc np. że wyjaśnianie przyczyny powstawania deszczu lub błyskawicy, sprzeciwia się wierze w Boga, bo deszcz Pan Bóg spuszcza, a nie robi on się sam z pary wodnej. Nie dali się przekonać, że i tak, jeżeli on się z pary wodnej tworzy, jest dziełem Boga, który wszystko stworzył, a więc i sposób powstawania deszczu, grzmotu, błyskawicy itp.

Dokończenie nastąpi.

Zofia Strzetelska.

W CHYŃJACH * * * * *

» » » » » » » » » (wyjątki z pamiętników córki ambasadora austriackiego).

(Ciąg dalszy).

Pobyt w Urdze nie był zabawny. Minęło pięć dni od naszego przyjazdu, a karawany naszej nie mogliśmy się doczekać, wypytywaliśmy o nią wszystkich przybywających do miasta i wysyłali posłańców, aż nareszcie przybyła.

Wodzem jej był p. Szewietów, kupiec kiachtyński. Był to człowiek około czterdzie-

stoletni, cerę miał żółtą z powodu licznych gorączek, których się nabawiał w południowych Chinach. Przez pustynię Gobi przeprawił się już siedm razy, mówił wybornie po chińsku i mongolsku, był gospodarzem i tłumaczem całej karawany i gdyby nie on, nie wiem jakbyśmy sobie dali rady.

Pod jego wodzą wyruszyliśmy z Urgi.



WOJSKO POLSKIE z 1831 r.

Pierwsze dwie wiorsty szliśmy z ojcem piechotą i mieliśmy przegląd karawany, postępującej w porządnym szyku.

Pochód otwierał wózek pana Szewielowa, z zatkniętymi na daszku dwiema chorągwiemi, jedną rosyjską, a drugą mongolską, potem szedł wózek drugiego kupca p. Kuźniecowa, potem czternaście wielbłądów objuzonych pakunkami, następnie nasze trzy wózki i wózek kupca p. Marina. Siedmiu Mongołów stanowiło straż i służbę naszą, siedząc na wielbłądach, czuwali oni nad porządkiem i zwracali baczne oko, czy gdzie jaki pakunek nie uświ się, lub nie odrywa.

Wielbłądy idą stępem, ale stęp ten jest bardzo szeroki, więc choć nie spieszą, posuwają się szybko.

Przejechawszy łańcuch gór, wjechaliśmy w pustynię Gobi, do przebycia której potrzebowaliśmy aż trzech tygodni — pomimo, że w ciągu doby zatrzymywaliśmy się tylko dwa razy i to po dwie godziny. O jedenastej rano nasi Mongołowie rozbijali dwa namioty, jeden dla nas, drugi dla siebie, wtedy gotowaliśmy jedzenie, a wielbłądy skubały nędzną pustynną trawę. Zjadłszy, ruszaliśmy w dalszą drogę i spoczywaliśmy znowu dopiero o jedenastej w nocy. Nie mogłam się wydziwić, jak wielbłądy, zwierzęta na pozór niezbyt silne, tak dalece wytrzymałymi być mogły. Zdarzyło się, że przez całe dni cztery najmniejszej nie spotkaliśmy roślinności, najnędzniejszej trawki, biedne zwierzęta nie przez ten czas nie jadły, ani piły, a jednak chód ich jednostajny, w niczem się nie zmieniał. Koń naszego przewodnika, koń silny, stepowy, upadał ze znużenia, chociaż miał owies i siano, które dla niego wielbłądy niosły i wodę mu dawano z zapasu dla nas przeznaczonego. Po ośmiu dniach podróży po tem morzu piasku, koń nie wytrzymał i padł, ten sam los spotkał i drugiego, kupionego wypadkiem u spotkanych Mongołów.

Przewodnik naszej karawany posiadał dokładną znajomość stepu. We dnie kierował się widocznymi śladami dawnych karawan: usłanych gdzieśkolwiek szkieletami koni i wielbłądów; w nocy zaś, patrząc w jedną gwiazdę, z której nie spuszczał wzroku, jak niegdyś Magowie w drodze do Betleemu. Zdarzało się jednak, że niebo chmurami się okrywało lub na ziemi wiatry wszelkie ślady zatarły, on jednak prowadził karawanę naszą wprost na mur Kałkanu z taką pewnością, jak sternik przy pomocy igły magnesowej okręt prowadzi do portu.

Nudna to była podróż, którą urozmaicało tylko czasem polowanie na rodzaj pustynnych kuropatw, które panowie strzelali, idąc śladem karawany. Czasem napotykaliliśmy też stada saig — rodzaj antylop, na tych stepach żyjących, lub śliczne białe jelenie, ale płochliwe te zwierzęta, ujrawszy zdala nadciągającą karawanę, pierzchały ostrożnie.

Raz zdarzył się nam wypadek, który rozweselił nas w nudnej jednostajności.

Ciąg dalszy nast.

SIEROTA

OBRAZEK DRAMATYCZNY W TRZECH ODSŁONACH
ZE ŚPIEWAMI

(Dokończenie).

Józefka. A bodajcie z takim śpiewem! Chce uśpić dziecko — szczekaniem. Idź już lepiej do komina, dopatrz mleka i ziemniaków, a ja pokolyszę Franka (*przychodzi do kołyski — wtem daje się słyszeć kolatanie do drzwi*).

Józefka (*przestraszona*) Kto tam?

Zygmus (*za sceną*) Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Otwórcie zbłąkanemu sierocie!

Józefka. Zdaje się, że to głos dziecka?

Janek. Otwieraj, otwieraj, Józefka, to na pewno dobry człowiek, bo Pana Boga chwali!

Józefka. A dyć, prawda! (*otwiera drzwi — wchodzi Zygmus zbiedzony i zmizerowany*).

SCENA III.

Zygmus. Dobrze dzieci, przebaczcie, że was przestraszyłem i dajcie mi co zjeść, ja wam zapłatę (*na stronie*) ostatnią koronę, co mi została za sprzedany krzyżyk, a co potem się ze mną stanie — nie wiem, ale żebrać nie będę.

Józefka. Ja tam się nie przestraszyłam.

Janek. Ani ja, bom zuch, jak każdy Mazur! Jeść paniczowi damy, jeno nie za zapłatę, a za dobre słowo, bo u nas nie gospoda i nie sprzedaje się z jadła nic nikomu, ale daje się dobrym ludziom.

Zygmus. A skądże wy wiecie, że ja dobry człowiek?

Józefka. A wiemy, boście Boga pochwalili na początku.

Janek. I tak ci dobrze z oczu patrzy.

Józefka. Gadu, gadu, a panicz głodny i juźci. (*podając Zygmusiowi na jednej misce kartofle, a na drugiej mleko*). Masz tu paniczu, ziemniaki świeże, a tu mleczko z zacierką wyborne.

Zygmus. Dziękuję wam, ale nie nazywajcie mnie żadnym paniczem, bo nim nie jestem, tylko po prostu Zygmusiem (*sajada z apetytem*).

Janek. A to i dobrze, nie będę już paniczował, ja się zwę Janek, a to moja siostrzyczka Józefka. — Tęgo jesz, pani... te Zygmusiu.

Zygmus. Od wczoraj rana nic nie jadłem.

Janek. A z kąd idziesz, Zygmsiu?

Zygmus. Z miasta.

Józefka i Janek (*z ciekawością*) Aż z miasta!

Janek. Taki kawał drogi i rodzice puścili cię samego tak daleko?

Zygmus. Ja nie mam rodziców.

Józefka. A gdzie oni?

Zygmus (*z westchnieniem*) Oboje w grobie, zostałem sam jeden.

Janek i Józefka. Sierotka! biedny Zygmsiu!

Zygmus. Oj, biedny, moi drodzy! Po śmierci mojej matki wziął mnie jeden dobry pan na wychowanie i pieścił, a uczył mnie, jak własne dziecko i było mi tam dobrze, a dobrze... Córka tego pana kochała mnie jak brata i uczyła różnych ślicznych rzeczy i ja kochałem ją, ale dwaj młodszy jej bracia nie lubili mnie i kiedy mnie raz wyhałasili jak nieboskie stworzenie i nazwali żebrakiem i darmożjadem, nie mogłem znieść tego i poszedłem, gdzie mnie oczy poniosły.

Janek. Co też ty gadasz? To w mieście są takie dzieci? U nas na wsi, to nie ma ani na pokaz takich. — Nas to wszyscy po głowie głąskają za to, że ojca nie mamy.

Józefka. A dokąd idziesz, Zygmsiu?

Zygmus. Sam nie wiem — gdzie Bóg poprowadzi. Chcę tylko dojść do bliźniego miasta, może mnie tam przyjmą do szkoły, bo już umiem czytać i pisać.

Janek (*z uszanowaniem*) Umiesz czytać? To możesz tak czytać z księgi, jak nasz proboszcz? Zygmsiu, nie idź do miasta — zostań z nami i naucz mnie czytać i pisać.

Józefka. Nie nudź teraz Zygmsia, on po drodze potrzebuje spoczynku.

Zygmus. O, tak — gdybyście mi pozwolili przespacerować się gdzie trochę, nim dalej pójdę w drogę, to mi sił doda.

Janek. Idź do tej komórki, tam sianko, jak ruta świeżuchno usłane i chłodek miluchny. Prześpij się (*otwiera komórkę*).

Zygmus. Bóg wam zapłać. (*wychodzi*).

Janek. No, no, tobyśmy nigdy nie pomyślał, że w mieście są takie złe dzieci. Gdyby tu przyszły, nie wpuścilibyśmy ich do izby, bo tu tylko dobrzy ludzie wchodzi.

SCENA IV.

Antoś. Dzień dobry.

Józefka i Janek. Dzień dobry wam panice.

Leos. Nie zachodził tu do was jaki chłopiec z miasta?

Józefka. A zachodził.

Leos (*z radością do Antosia*) Może to on? (*z niepokojem do Józefki*) Takiego wzrostu, jak Antoś? (*wskazuje na niego — Józefka kiwa głową*) blondynek?

Józefka (*milczy*).

Antoś (*objasniając*) Włoski miał jak len — podobne do twoich?

Józefka. A juści.

Antoś. Na imię ma Zygmsiu.

Antoś i Leos. To on (*jeden do drugiego*) wyprzedza nas wszędzie, dogonić go nie możemy. (*do dzieci*) A dokąd ztąd poszedł?

Janek. On nigdzie nie poszedł — jest w tej komórce.

Antoś (*z wybuchem radości*) Boże wielki!... nakoniec!

SCENA V.

Zygmus (*przecierając oczy*) Co to za głosy mnie obudziły? (*spostzegając Antosia i Leosia*) Czy mi się śni jeszcze?

Leos i Antoś. To my, twoi bracia.

Zygmus. Ja nie mam braci. Jestem sam jeden, biedny żebrak.

Leos i Antoś. Daruj nam, nie gniewaj się na nas.

Zygmus. Już dawno darowałem wam moją urazę.

Leos. Wróć do nas.

Zygmus. Nie mogę.

Leos. Proszę cię, wróć, bracie!

Zygmus. Wypędziłeś mnie raz z domu swego ojca — nie wrócę do was.

SCENA VI.

Pan Milecki (*do Zygmsia*). Nawet na moje prośby?

Leos i Antoś (*sadziwieni mocno*) Nasz ojciec?..

Zygmus (*całując jego ręce*) Kogo ja widzę, ciebie, drogi opiekunie? Zkąd, jakim sposobem znaleźliście się tutaj?

Pan Milecki. W pogoni za zbiegiem odbyliśmy wszyscy niezłą podróż. (*wskazując na dzieci*) Spójrz na ich wychudłe twarze: noszą na sobie widoczne ślady smutku i zmęczenia, a jednak kara ich nie skończy się, pokąd ty Zygmsiu nie wrócisz pod nasz dach. Zbłądzili, ale i odpokutowali za swoje. Podaj im bratnie dłonie.

Zygmus (*podając im ręce i sciskając ich*) Bardzo chętnie.

SCENA VII.

Marynia (*spostzegając Zygmsia*) Więc żyw i zdrów, o, dzięki ci Boże! (*całuje Zygmsia*) No, skończyły się nasze smutki! (*do Zygmsia*) Żebyś ty wiedział, Zygmsiu o naszym niepokoju, w jaki nas wprawiła twoja ucieczka. Walenty przyniósł twój kapelus z moczony, co go wyciągnięto z rzeki — myśleliśmy, żeś może — broń Boże utonął.

Zygmus. Ah, to wiatr zerwał mi go, jakim biegł szybko i wrzucił do wody.

Marynia. Otóż i koniec naszych trosk. Teraz powrócisz do dawnych naszych lekcyi, bo musimy skończyć, cośmy zaczęli...

Zygmus. O, z całej duszy chciałbym się dalej uczyć, ale nie mogę przecież być darmożjadem.

Pan Milecki. Alboż można nazwać darmożjadem dziecko u rodziców, wnuka u dziadków, wychowanka u opiekuna? Wydatki na nie ponoszone, są niejako pożyczką ze swoich własnych fundusów, swego domu, swoich sług i tam dalej. Pożyczka mu się chwilowo. Zwraca ono potem to

samo krajowi, oddając to z procentem swoim znów wychowawcom. Zresztą Zygmsiu, choć o tem nikomu nie mówi oddaje drugim to, co sam dostaje od innych. Zygmsiu uczy małego, biednego Maciusia i przysposabia go na przytecznego obywatela kraju. Powróć zatem do tego domu, gdzie czekają cię nauczycielka i uczeń. I cóż? zgoda?

Zygmus (*całując go w rękę*) Zgoda, mój najlepszy opiekunie!

Pan Milecki (*do Leosia i Antosia*) Teraz i wy chodźcie. Wiem, że serca wasze nie są zepsute, tylko brak wam rozwagi i zastanowienia się. — Lekkomysłność ta chwilowa, mam nadzieję, że się nie powtórzy więcej.

Leos i Antoś. O, nigdy, nigdy!

Zasłona spada. — Koniec.

ZAGADKI.

Konkurs na zagadkę gwiazdkową.

Ponieważ mnóstwo czytelników lubi układać zagadki, przeto redakcja „Małego Światka“ wzywa tych, którzy umieją i lubią układać łamigłówki, aby postarali się ułożyć zagadkę gwiazdkową. Najdowcipniejsza, najlepiej ułożona zagadka zostanie drukowana w gwiazdkowym numerze „Małego Światka“, a jej autor otrzyma nadto w nagrodę piękną książkę do czytania.

Zagadki te przyjmować będziemy tylko do dnia 1. grudnia b. r. Nadesłane później, nie zostaną uwzględnione.

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA

nadesłana przez Genię D. z Meranu.

Me — te — wa — se — dia — tes — ba — el —
sło — woz — ra — zan — ny — to — bar — or —
— kwa — głow — łow — a — zi — na

Z powyższych zgłosek ułożyć 8 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół dadzą nazwę dawnego księstwa polskiego, położonego po obu brzegach Wisły, a końcowe nazwę stolicy tegoż kraju.

Znaczenie wyrazów jest następujące:

1. Miasto na Podolu nad Dniestrem. 2. Państwo w Azji. 3. Wyspa na wschodzie Afryki. 4. Szczyt w Alpach. 5. Droga wąska między ścianami gór lub skał. 6. Rzeka we Francji. 7. Materya tkana złotem, z niej wyrabiano w Polsce ubrania. 8. Rzeka w Europie.

SZARADA

nadesłana przez Bronię z Kołomyi.

Pierwsze z trzeciem — z garnka ulata,
Czwarte, pierwsze — pokazuje części świata,
Całość czasem w większych miastach bywa,
A nieraz piękny widok tak się nazywa.

Rozwiązanie zagadek z nr. 33.:

Łamigłówka kryształowa: M, mam Wołga, motylek, atmosfera, Mały Światek, Krasiński, Eulalia, potem, cep, k — Mały Światek.

Łamigłówka zgłoskowa: Burak, rana, obraz, dzieci, zegarem, Imerytyński, noże, ser, Kaukaz, i — Kazimierz Brodziński.

Rozwiązanie zagadek nadesłali:

Irka i Roman Alexandrowiczowie, Zygmsiu Karpiński, Zosia i Jania Ignatowiczówny, Witold Kulesza, M. Boziewiczówna, Jadwiga Mejbaumówna, Zosia Małdzińska, Jania Rozenhekówna, Jadzia Slawikówna, Maryla Hełczyńska, Marya i Janek Andrzejowscy, Hala, Zygmsiu, Edzio, Basia i Waciu Ostaszewscy, Bogusia i Stefcia Jachimowskie, Zosia i Mania Paliszewskie, Jadzia i Stefcia Dobrzańskie, Alina Hanówna, Staś Stahlberger, Jadzia Brzeźkowska, Jadwisia Grega, Stasiunia Orlewiczówna, Rudolf Hirschdörfer, Tadzio Neumann, Adam i Tadeusz Staniewicze, Luta Blumenthalówna, Jadwiga K., Feliks i Konrad Braunowie, Mania i Zosia Dobrostańskie, Tadek Dobrowolski, Staś Regiec, Władek i Janina Gołąbowie, Frydzia Schönbachówna, Lunia Dulebianka, Staś Łoś, Mitka Kawałkówna, Niułka Horochówna, Jańcio Scherff, Staszka Więckowska, Jania Paszkowska, Władzio Ferrari, Muszka Denkerówna, Oleś Kohl, Helena Niezabitowska, Niusia i Maryla Rzewuskie, Lola Kochanowska, Jaś Kohn, Frydzia U., Feliks Flechner, Maryla Czwierniówna, Fazia, Wandula i Zygmsiu Wodziński, Miecio Józefczyk, Janina Mańkowska, Mania Krzeptowska, Marylka Dargunówna, Wisia Solecka, Wanda Łopatiakówna, Wańdzia, Zosia i Staś Semelkowie, Zdzisł Żygułski, Wanda Thomasówna, Kazio Jasiński, Halka Boguszówna, Maryan i Kazimiera Grzegorzycykie, Józia Landauówna, Tadeusz Kwiatkowski, Miecio Herowitz, Kornelcia Wiesenberg, Genia i Edward Lukaczerowie, Karol Kofler, Irena Szwedzicka, Eugeniusz Barbag, Adam Fischer, Czesław Kudas, Józio, Zosia i Mania Maultzowie, Adam Kopacz, Stasia Taube, Zosia Hilbrichtówna, Mania Wusatowska, Milus Baczewski, Robert Binder, Lucia Feldsteinówna, Otto Lukas, Zosia Wojnarowska, Józia Rylska, Władzio Sobolewski, Mania i Stasio Tenerowicz, J. Leńkówna, Zosia Schnayderówna, Miecio Datka, Milunia i Miecio

Kreutzowie, Wandzia Czajkowska, Zosia i Romuś Reklewscy, Janusz i Stasio Raczyńscy, Miecio Mrazek, Marya, Karol i Ludwik Fraenklowie, Wańdzia Hozakowska, Janina Teleśnicka, Anna Dobrzańska, Janina i Jolenta Obrębowiczówny.

Nagrody otrzymali:

Witołd Kulesza, Lola Kochanowska, Miecio Horowitz, Janina Teleśnicka.

Korespondencje Redakcyi.

Broni K. w Kołomyi. O, jakże serdecznie żał nam ciebie, że poniosłaś tak ciężką stratę. — Na zapytanie odpowiadamy, że jesteś winną tylko za IV. kwartał.

Mieciowi H. w Krakowie. Kto często nadsyła rozwiązania, ten może łatwiej wylosować nagrodę.

Łuci F. we Lwowie. A dlaczego to Łucia nie pisała tak dawno?

Stefciowi i Zosi H. we Lwowie. Chiny kraj ciekawy, więc nie dziwimy się, że czytasz o nich z takim zajęciem.

Czesławowi K. w Krempnej. „Mały Światek“ lubi bardzo takie listy pisane dużemi literkami, pisz więc często.

Adasiowi F. Dlatego, że nie możemy umieścić kilkunastu zagadek w jednym numerze.

Eugeniuszowi B. w Przemyślanach. „Mały Światek“ chciałby choć na dni kilka zasadzić w redakcyi za stosem listów którego z czytelników. Wtedy nie miałyby pretensyi, że nie zawsze otrzymuje odpowiedzi.

Irence Sz. w Krakowie. A co ci się podoba najbardziej?

Jadwiszi K. Każdy arkusik dodatku powieściowego kosztuje 8 halerczy, czyli 4 centy. Ale jeżeli chcesz, aby ci je przysłać, to podpisz się całym nazwiskiem, bo mamy kilkanaście czytelniczek, którym na imię Jadwisia, a nazwisko zaczyna się od litery K.

Jadwiszi Śl. w Brzozowie. „Mały Światek“ przeczytawszy twój smutny list, zasmucił się bardzo i całym sercem współczuje wasze nieszczęście.

Staszcze W. w Bohorodczanach. Nie, „Mały Światek“ nie boi się żadnej epidemii, a czy ty wylosujesz nagrodę, tego on nie wie.

Adasiowi i Tadeziowi St. w Tarnopolu. Pewno chodzisz wieczorami na spacer, aby podziwiać jasne oświetlenie miasta.

Stasi O. w Brzozowie. Nie, twego rozwiązania zagadek, o którym piszesz, nie otrzymaliśmy wcale.

Jadwini B. w Dukli. Tak, smutna to powieść. bo dzieci narodu, co dźwiga pęta niewoli, muszą myśleć poważnie i cierpieć zawczasie.

Zosi i Mani w Skrzyszowie. „Mały Światek“ nie zapomina nigdy o swoich przyjaciółkach.

Edziowi L. w Białej. Zagadka dobra, ale w tym roku nie możemy przyjąć już żadnej zagadki, więc i twój schować nie możemy. Przyszlij ją w roku następnym.

Jani R. w Śniatynie. Przeczytać — „Mały Świa-

tek“ może chętnie, ale drukować stanowczo nie. Bo gdyby „Mały Światek“ drukował te wszystkie rzeczy, które mu przysyłają jego czytelnicy, to przestałby być pismem dla dzieci, a stałby się pismem pisanem przez dzieci.

Witołdowi K. List twój czytał „Światek“ z wielkim zajęciem. Więc jesteś wnukiem Orzona? Pamiętaj, że kto ma w rodzie takich bohaterów, ten powinien starać się być ich godnym i dobro Ojczyzny mieć przedewszystkiem na celu. — Ależ to z ciebie nielada podróżnik, skoro przejechałeś oceanem z Nowego Jorku! Ślusznie więc mówisz, że gdybyś umiał dobrze i prędko pisać, to miałbyś dużo do napisania. Ale kiedy przyjedziesz do Lwowa, to „Mały Światek“ zaprasza cię na cały wieczór, abyś mu mógł opowiedzieć to wszystko, czego nie możesz napisać. Dobrze? Iwonce powiedz, że pamiętamy jej imię, tylko pomyłka zaszła w druku. Na jej pytanie, czy „Światek“ jest żywy, powiedz, że żywy, bo ożywia go miłość dla dzieci i żyje też w ich serduszkach. A czy i Iwonka przyjedzie do Lwowa?

Wandzi, Zosi i Stasiowi S. w Krakowie. Listu „Mały Światek“ nie otrzymał, byłby wam odpowiadał z pewnością. Nagrody nie wylosowałyście, ale musicie przysłać, że nie często przysyłacie rozwiązania. Gdy Staś nauczy się pisać, niechaj napisze list do „Małego Światka“. Numery żądane wysłaliśmy.

Wisi S. w Przemyślu. Nie, „Mały Światek“ nie gniewa się na ciebie, ale nie mógł odpowiedzieć na list, którego nie otrzymał. Rocznik „Małego Światka“ oprawiony ozdobnie kosztuje 3 zł., nieoprawiony 2 zł. Numery pojedyncze po 15 ct.

Mani K. Wzory na sukienki dla lalek damy przed świętami. Z zagadkami mamy bardzo wiele kłopotu, bo założona niemi cała szuflada, a każdy czytelnik pragnie, aby jego zagadkę umieścić koniecznie.

P. J. w Tarnowie. Zagadkę kryształową umieścimy, trójkątnej nie, bo tylko dwa boki dają wyrazy do rozwiązania, a trzeci nie.

Kazi, Wanduli i Zygmusiowi w Jarosławiu. Skoro nie wymieniliśmy waszych imion i nazwisk w spisie tych, co nadesłali rozwiązania i nie odpowiedziliśmy na list, to widocznie listu tego nie otrzymaliśmy.

Hali K. we Lwowie. „Pan Światek“ nie wie, kiedy „panna“ Lola wylosuje nagrodę, bo to nie od niego zależy. A czy panna Lola zawsze pilnie nadsyła rozwiązania?

Frydzy U. w Dźwinogrodzie. „Mały Światek“ lubi bardzo czytać twoje listy, bo są bardzo wyraźnie pisane, a on ma oczy słabe i dużo, dużo musi czytać.

Przy ul. Zofii Chrzanowskiej l. 12.

otwarty został

Ogródek Froeblovski

prywatnie prowadzony przez rutynowaną i bardzo zdolną freblankę, którą „Mały Światek“ zna osobiście.

Wpisywać się można codziennie w godzinach przedpołudniowych. — Warunki bardzo przystępne. — Oplata miesięczna wynosi 2 zł. 50 ct., wpisowe na cały rok 1 zł.

TREŚĆ: *Wilhelmina Kasprowiczówna.* — *Gwiazdy akademii.* — *W Chinach.* — *Sierota,* komedycja w trzech odsłonach. — *Zagadki.* — *Korespondencje Redakcyi.* — W dodatku: „*Światelko*“ i „*Litwinka*“.